

Dorota Kulczycka

Uniwersytet Zielonogórski

ORCID: 0000-0002-2608-3620

ERAZM Z ROTTERDAMU BYŁBY ZADOWOLONY. O WSZELAKICH POŻYTKACH Z WYJAZDÓW DYDAKTYCZNYCH W RAMACH „MOBILITY AGREEMENT STAFF FOR TEACHING”

Formy współpracy z naukowcami z zagranicy mogą być różne: wspólne projekty, granty ministerialne czy unijne, staże naukowe, konferencje naukowe itd. Wyjazdy na „Erasmus” zaliczają się do inicjatyw dydaktycznych, ale czy nie można z nich wynieść nauki i czy nie można dzięki nim nawiązać kontaktów naukowych? W ankiecie wysyłanej nauczycielom akademickim, którzy wrócili z „Erasmusa”, zadaje się wszakże pytanie m.in. o nawiązane kontakty naukowe.

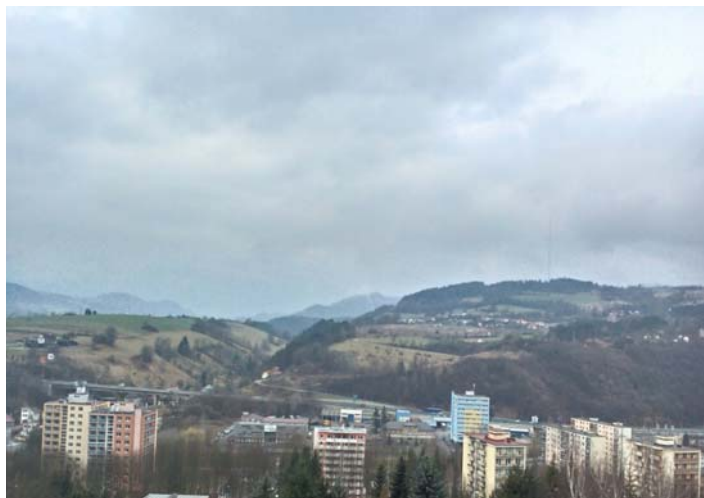
W niniejszych wspomnieniach chciałabym podzielić się wrażeniami z wyjazdów na „Erasmus” i „Erasmus Plus”, na które to podróże zachęciła mnie koleżanka z pracy – dr hab. Joanna Gorzelana, prof. UZ. Zielonogórska polonistka ma możliwość kontaktów z krajami dawnego bloku socjalistycznego: z Litwą i Ukrainą należącymi do 1991 roku do ZSRR, z Czechami i Słowacją tworzącymi do 1993 roku Czechosłowację oraz – od niedawna – z Chorwacją. Nie mamy zaś kontaktów z Europą Zachodnią.

Zanim pojawiła się pandemia koronowirusa COVID-19, kto chciał i mógł, korzystał z wyjazdów dydaktycznych. Osobiście skorzystałam z wyjazdu do Bańskiej Bystrzycy na Słowacji, do Wilna i do Lwowa¹. Wyjazdy przyniosły mi wiele satysfakcji: poznałam kraje wcześniej nieodwiedzane (poza Litwą), ludzi, ich warunki życia, a także sytuację polonistyki zagranicą.

Pierwszym był wyjazd na Uniwersytet Mateja Bela do Bańskiej Bystrzycy w marcu 2015 roku. Podróż w nieznaną, łączonymi pociągami pełna była emocji, zwłaszcza że w trakcie okazało się, iż zamiast do słowackiej Bańskiej Bystrzycy sprzedano mi bilet do czeskiej Bystrzycy. Będąc już na miejscu, pobłądziłam, ale

1 Jest to w ramach Erasmusa jeden z wyjątków, gdyż Ukraina nie należy do Unii Europejskiej.

za to spotkałam się z życzliwością, której nie doświadczyłam na zachodzie Europy: zapytani o drogę do akademika przy ulicy Komenského ludzie orzekli, że to daleko i bezinteresownie zaproponowali podwiezienie samochodem.



Bańska Bystrzyca. Widok z hotelu akademickiego przy ulicy Komenského

Na drugi dzień przekroczyłam progi uczelni na Wydziale Filozoficznym, w ramach którego to Wydziału znajdowała się wówczas filologia polska. Nauczycielki akademickie wraz z koordynatorką dr Anitą Račákovą i później przybyłą dr hab. Gabriellą Olchową były bardzo otwarte i serdeczne. Anita Račáková jest Słowaczką, natomiast Gabrysia Olchowa – Polką zatrudnioną w Bańskiej Bystrzycy. Opowiadały o problemach, z jakimi borykają się na uczelni: przede wszystkim brakuje studentów, brakuje dofinansowania kierunku pozostającego w cieniu zapomnienia. Pracownicy mają obowiązek przebywania na Wydziale określonej ilości godzin dziennie, niezależnie od tego, czy prowadzą w danym dniu zajęcia dydaktyczne czy też nie. Stanowi to dla nich duże utrudnienie, zważywszy na obowiązek pracy naukowej. Nieco inny, choć podobny problem mają wykładowcy na Ukrainie, których z kolei pensum jest bardzo duże.

Studenci byli bardzo otwarci. Okazało się jednak, że wartość merytoryczna zajęć, do których porządnie przygotowywałam się przed wyjazdem, nie jest tak ważna, jak kontakt ze słuchaczami i samo posługiwanie się przeze mnie językiem polskim. Meandry interpretacyjne *Ballad i romansów* czy *Sonetów krymskich* Adama Mickiewicza trzeba było porzucić, by mniej skomplikowanym językiem porozmawiać z grupą o utworach. Samo czytanie *Romantyczności* z podziałem na role okazało się już dla nich nie lada wyzwaniem, ale też przyniosło pewną satysfakcję związaną choćby z wykazaniem się aktorskimi zdolnościami. Lepiej nam poszły

zajęcia z filmu. Rozmawialiśmy o gatunkach filmowych (i serialowych). Studenci, a zwłaszcza studentki z pasją opowiadały o polskich serialach, jakie oglądają w telewizji. Większość z nich (a był to jeszcze liczny rocznik) mieszka w górach przy granicy z Polską i ogląda telewizję polską. Pasjonują się kulturą naszego kraju i chętnie wiązałyby z nią kiedyś głębszą – zwłaszcza na płaszczyźnie zawodowej czy egzystencjalnej – relację.

Dla mnie z kolei Słowacja okazała się odkryciem. Przyzwyczajona od lat do wyjazdów zagranicznych na Zachód nie pomyślałam, że można wynieść tyle pasjonujących wrażeń z pobytu w Europie Środkowej. Kiedyś, jako dziecko, byłam z bratem na koloniach w Czechosłowacji. To były inne czasy: zachwyceni byliśmy bakaliarniami dostępnymi w sklepach i słynną czekoladą „Studentską”, a z drugiej strony oszołomieni konkursem z wiedzy o czechosłowackich dygnitarzach partyjnych, poekscytowani dostosowanymi do naszego wieku zabawami i wędrownkami w góry. Pamiętam, że w chińskim szlafroku, z ukośnymi kreskami na powiekach i pałeczkami w upiętym koku zostałam jako „Japonka” Królową Balu. Raz jeden w życiu. Teraz natomiast przyjechałam na Słowację, która w odróżnieniu od bogatszych Czech przeszła w 2009 roku do strefy euro. Z rozmów prowadzonych na miejscu (na uczelni i na ulicach z przygodnymi rozmówcami) oraz w pociągach dowiedziałam się, że Słowacy żałują, że zrzekli się koron. Usłyszałam, że nie wszyscy Czesi i Słowacy są też zadowoleni z podziału Czechosłowacji na dwa oddzielne państwa. Członkowie rodzin należą teraz do dwóch różnych krajów; wynikało z tego powodu też wiele innych problemów (np. „zabieranie” Słowakom studentów przez sąsiada, gdzie łatwiej potem o lepszą pracę). Pół żartem, pół serio możemy zapytać: do kogo teraz należy czekolada „Studentská”, kto może sprzedawać ręczniki, breloczki, latarki i inne bibeloty z Krecikiem bądź Rumcajsem? Oba narody w tym konkurują.

Przyjechałam na Słowację, by posłuchać pięknego języka narodowego – w uszach Polaków ni to dziecięcego, ni to staropolskiego czy starosłowiańskiego; by spotkać się z ludźmi życzliwymi, mentalnością nam chyba bliskimi. Swojsko było na tamtejszej polonistyce wśród życzliwych nauczycielek, ciepło na duszy wśród ludzi na ulicach, w barach i w sklepikach, dobrze w kościołach w czasie mszy św. i innych nabożeństw, np. odprawianej w czas Wielkiego Postu Drogi Krzyżowej. Nie zauważyłam różnicy między pobożnością praktykujących Polaków i Słowaków. Ujęło mnie jeszcze to, że w katolickich świątyniach były wywieszane informacje o zapisach na pielgrzymki. W jakim kierunku? Do Częstochowy, do Łagiewnik, do Kalwarii Zebrzydowskiej. Jak tu się nie czuć jak u siebie w domu?!

Spacerując wokół uczelni, wspinając się na różne kondygnacje góry, na której jest położony gmach uniwersytecki (chodzi o Wydział Filozoficzny), zauwa-

żyłam wielu ubogich studentów: w starych ubraniach, w które np. zielonogórcy studenci nie śmieliby się już przyodzierać. Kiedy z kolei z zaproszoną przeze mnie na ostatnie dni pobytu koleżanką z Krakowa – dr Elżbietą Powązką wracałam już przez Słowację samochodem, kierując się w stronę Katowic, zauważyłam na prowincji wiele podupadłych gospodarstw i wiosek, odrapane jak u nas w czasach PRL-u ściany domów i połamane płoty; niestety też dużo alkoholików, niemających prawdopodobnie co zrobić z własnym życiem. Ela, dzielnie prowadząc Citroën, niemal w każdym miejscu, którym okazywałam zainteresowanie, zatrzymywała się. Napawałyśmy się widokiem pięknych krajobrazów, „prostowałyśmy kości” i robiłyśmy sobie zdjęcia.

Drugi raz wyruszyłam wraz z zielonogórską koordynatorką prof. UZ Joanną Gorzelaną, językoznawczynią na Erasmus „zerowy” – bez diety. Spotkałyśmy się na Śląsku, gdyż ja jechałam prosto z konferencji w Tarnowskich Górach. Jeszcze w Polsce, parę metrów przed Słowacją, posiliłyśmy się pysznymi pierogami i wsiadłszy do pociągu, przekroczyłyśmy w malowniczym terenie granicę. Zmierzając do zaprzyjaźnionego ośrodka drugi raz, byłam już mądrzejsza i przywiozłam tamtejszym wykładowczyniom polskiej gramatyki kilka książek z polskiego, w tym regionalnego (lubuskiego) językoznawstwa.

Zajęcia były jeszcze w mniejszej (minimalnej) grupie, w dodatku ze studentami, którzy traktowali już z mniejszym zaangażowaniem wykładane przedmioty, zwłaszcza że nie czuli rywalizacji o stopnie, a ponadto równocześnie studiowali inne filologie, w tym anglistykę. Polonistki były poważnie zaniepokojone o dalszy los instytutu, tym bardziej, że dotacje konsekwentnie szły na inne kierunki. Rozmawiało się z nimi jak ze „starymi znajomymi”. Gdyby nie „Erasmus”, nie miałabym szansy poznania tamtejszego życia akademickiego „od środka”, trosk i radości wykładowców; okazji do konfrontacji ze słowackimi studentami. Wyjazd dydaktyczny jest również wyjazdem turystycznym, a przez to naukowym, w sensie: pouczającym – według starej zasady: „podróże kształcą”. Z Joasią w czasie wolnym od jej i moich zajęć zwiedzałyśmy miasto i okolice. Poznałyśmy bliżej uroki Bańskiej Bystrzycy. Na krańcach jednego z jej placów znajdują się dwie kolumny: jedna – religijna, przedstawiająca NMP, a druga – postawiona na upamiętnienie zwycięstwa wojsk radzieckich. Można to odczytać symbolicznie.



Centrum Bańskiej Bystrzycy na Słowacji. Jeden pomnik...

Chodziłyśmy dróżkami wedle stacji Drogi Krzyżowej zbudowanej bodajże w XVII wieku jako wotum dziękczynne po ustaniu jakiejś epidemii, a usytuowanej na wzgórzach obok nowoczesnego klasztoru karmelitańskiego. Wstępowałyśmy do kościołów na msze św. i nabożeństwa, wspinałyśmy się na okoliczne góry, byliśmy na spektaklu w Operze. Poszłyśmy też do antykwiariatu mieszczącego się w prawdziwym labiryncie pełnym potajemnych przejść z kamienicy do kamienicy, z piętra na piętro, gdzie w końcu na poddaszu, w sali pełnej zakurzonych książek moja kompanka zakupiła swojemu koledze podręcznik do stylistyki autorstwa słowackiego językoznawcy Josefa Mistrika. Byłyśmy też w muzeum sztuki mieszczącym się w bardzo wąskim domu. Gdy zobaczyłyśmy tzw. współczesne dzieła artystyczne, to koleżanka z pracy stwierdziła z humorem, że już sensowniej jest pisać habilitację, niż tworzyć takie bohomyzy. Wspaniałym wydarzeniem była wspólna wycieczka pociągiem przez malownicze góry do Turczańskich Teplíc na pływalnię usytuowaną w tamtejszych termach. W pociągu miałyśmy możliwość nie tylko podziwiania przez okno bogactw naturalnych regionu, ale również obserwacji ludzi i rozmów z nimi, poznawania ich mentalności. Ujęły mnie obrazy dziadków serdecznie rozmawiających z wnuczką zabieraną przez nich pociągiem na wspomniany basen. W termach spotkałyśmy też Słowaka, który chwalił się znajomością polskich słówek i wyjazdami do Częstochowy czy Krakowa.



Bañska Bystrzyca... i drugi pomnik

Podróż powrotna do Polski graniczyła z cudem. Okazało się, że bilety na część trasy pociągiem Leo Express trzeba było zamawiać tylko przez Internet – nie zrobiliśmy tego przed wyjazdem, a na Słowacji było już za późno. Niemniej jednak cud się stał i dojechaliśmy szczęśliwie do domu. Znajomość ze środowiskiem naukowym z Bańskiej Bystrzycy zaowocowała tym, że gdy miałam kiedyś trudności z dobrym przetłumaczeniem tytułówki filmu *Spiskowcy rozkoszy* (czes. *Spiklen-ci slasti*, 1996), pomocy udzieliła mi docent Gabrysia Olchowa, za co jej w tym miejscu jeszcze raz serdecznie dziękuję. Jestem też wdzięczna docentowi Karelowi Komárkowi z Brna – pracownikowi Uniwersytetu Palackiego (Univerzita Palackého) w Ołomuńcu – za pomoc w rozpoznaniu jednego z aktorów w serialu *Pustkowie* (czes. *Pustina* – 2016). Karela poznałam z kolei na międzynarodowych konferencjach. Pisujemy do siebie sporadycznie, zawsze jednak z życzeniami w okolicach świąt. Karel Komárek jest też członkiem Rady Naukowej serii monografii naukowych „Scripta Humana”, toteż, kiedy ukazuje się nowa monografia, wysyłam mu do wglądu.

Kolejnym kierunkiem erasmusowych eskapad było Wilno. Miasto piękne, śnieżnobiałe w najbardziej zabytkowym centrum, z bursztynową ornamentyką sklepów jubilerskich. Miasto Słowackiego, Mickiewicza, Lelewela i Miłosza, gród przesiąknięty polskością. Tym razem jako towarzysza podróży zaprosiłam koleżankę z Poznania – doktor muzykologii Annę Koszewską. Dla orientacji za-

brałam z sobą stary przewodnik turystyczny Juliusza Kłosa², który mimo że był pisany sto lat temu, nie stracił walorów poznawczych. Z nim to w rękę zwiedzałyśmy stare miasto, kościoły, pałace, katedry, cmentarze i uliczne skwery. Ania, za przyzwoleniem koordynatorki z Wilna – pani doktor Teresy Daleckiej, wygłosiła wykład o zabytkach średniowiecznej muzyki polskiej, zjednując sobie serca młodych Wilnianek, które – jak się okazuje – znają kulturę polską, jeżdżą z zespołami muzycznymi do Polski, więc temat nie był dla nich całkiem obcy. Ja z kolei mówiłam o filmie Denysa Arcanda *Inwazja barbarzyńców* w kontekście różnych nurtów filozoficznych żyjących w latach 60. i 70. Ucieszyło mnie to, że wszyscy, łącznie z wykładowczynią, oglądnęli wcześniej film i w związku z tym dobrze nam się rozmawiało. Również następne zajęcia spotkały się z ich zainteresowaniem.

Przyjemnym dla mnie zaskoczeniem były potem osobiste konsultacje filmowe udzielone przeze mnie na prośbę nauczycielki z Wilna. Równie miłym akcentem było po kilku latach spotkanie z inną wykładowczynią z Uniwersytetu im. Stefana Batorego. Nastąpiło to przy okazji konferencji *Pamięć Słowackiego* w Warszawie. Wracalam wtedy przez stolicę z „Erasmusa Plus” na Ukrainie, by móc uczestniczyć w sesji organizowanej przez dra hab. Olafa Kryśowskiego, prof. UW. Gdy spotkałyśmy się ponownie przy Kolumnie Zygmunta, pani docent dr Irena Fedorowicz zachęciła mnie, bym jeszcze kiedyś przyjechała do Wilna.



Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie

2 J. Kłos, *Wilno*, Wilno 1923.



*Anna Koszewska i Dorota Kulczycka na dziedzińcu Uniwersytetu.
Z tyłu po prawej gmach polonistyki*

Wracając jednak do erasmusowego wyjazdu z doktor Anną Koszewską: z regionalnych potraw jadłyśmy nie tylko wileński chleb, ale również np. cepeliny z mięsem bądź kozim czy owczym serem. Kosztowałyśmy litewskiego wina. Dużo zwiedzałyśmy. Pełną uroku eskapadą była wieczorowa wędrówka po gmachu, w którym wykładali bracia Śniadeccy, Euzebiusz Słowacki, August Bécu czy Joachim Lelewel. Myślałyśmy, że obiekt jest zamknięty. Nic podobnego – zwiedzałyśmy więc sale i halle z białymi i czarnymi freskami alegorycznie prezentującymi różne nauki, a za nami, pełnymi zadumy, snuły się duchy romantycznych przodków. Romantyzmu naszej wyprawy dopełniły wizyty w kościołach wileńskich, o których Alina Kowalczykowa pisze, że Słowacki, obcując z malarstwem i freskami zdobiącymi ich wnętrza, nauczył się wycucia sztuki barokowej. W ten sposób też wykształcił swoją wyobraźnię artystyczną³. Niektóre świątynie, np. franciszkańska, pozostają jeszcze w opłakanym stanie – scheda po komunizmie zamieniającym przybytki Pańskie na spichlerze i magazyny. Kręci się wokół nich dużo naciągaczy, którzy pod pozorem kwesty na renowację inkasują dla siebie od naiwnych turystów euro.

3 Zob. A. Kowalczykowa, *Słowacki*, Warszawa 1999, s. 37–52.



Drzwi do Centrum Polonistycznego na Uniwersytecie Wileńskim

Podziwialiśmy starania miejscowych Polaków o zachowanie polskiej mowy i polskich obyczajów, ich miłość do polskości. Polskiego uczą się też Litwini – zwłaszcza pracujący w branży gastronomicznej, handlowej czy turystycznej. Byliśmy na targowisku, na którym Litwinka łamaną polszczyzną namawiała nas do kupna kaliny (a był piękny, słoneczny październik), według niej – zdrowej na serce. „Rosła kalina z liściem szerokim...”⁴. Z estymą zwiedzałyśmy groby na cmentarzu Na Rossie nie tylko sławnych, ale również całkiem nieznanymi Polaków i Polek, Litwinów, Rosjan. Pełne zachwyty przystawaliśmy, by przeczytać, z jaką czułością owdowiali małżonkowie pisali na nagrobku o swojej wielkiej i nieodżałowanej stracie. Wiele grobów na Rossie ma kształt mauzoleum bądź sarkofagu (jak w Père-Lachaise w Paryżu), wiele – co w Polsce, przynajmniej w Zielonej Górze, niespotykane – ma kształt pnia drzewa. Oczywiście pierwszym grobem, przed którym stanęłyśmy, był grób Piłsudskiego i jego rodzicielki: „Matka i serce Syna”. W 2020 roku, gdy ponownie się przy nim znalazłam, był ozdobiony wieńcami złożonymi przez najwyższych dostojników państwa polskiego.

W 2017 roku zwiedzałyśmy z Anią przede wszystkim kościoły, w tym również katedrę, w której podziemiach w 1547 roku – o czym pisał też w tragedii Alojzy Feliński – Zygmunt August brał potajemnie ślub ze zniesławioną przez Bonę Barbarą Radziwiłłówną⁵. W kaplicy św. Kazimierza Królewicza uczestniczyłyśmy we mszy św. koncelebrowanej po litewsku i uświetnionej śpiewami

4 T. Lenartowicz, *Poezje wybrane*, Kraków 2002, *Kalina*, s. 11–12.

5 Zob. A. Feliński, *Barbara Radziwiłłówna. Tragedia w pięciu aktach*, Kraków 2003.

chóru wileńskiego. Wielkim przeżyciem było dla nas kontemplowanie obrazu Jezusa Miłosiernego („Jezu ufam Tobie”), namalowanego przez profesora Eugeniusza Kazimirowskiego. Usilnie próbowałyśmy za torami kolejowymi znaleźć dom, w którym mieszkała siostra Faustyna, ale trafiłyśmy tylko na ośrodek opiekuńczy, który kiedyś był domem błogosławionego księdza Michała Sopoćki. Tam również mogłyśmy porozmawiać, dowiedzieć się o życiu i pracy Polek pracujących w tym zakątku Wilna.

Na zakończenie dodam, że chodząc do śródmieścia, czy to na zajęcia, czy to na zwiedzanie, przechodziłyśmy koło pewnego tajemniczego sklepu jubilerskiego. Z uśmiechem witałyśmy w nim rudego kota wylegującego się w witrynie na i pod koralami z bursztynów. Ale w 2020 roku nie było go już widać.



Kot w sklepie jubilerskim z bursztynami niedaleko Uniwersytetu Wileńskiego

Do Polski wracałyśmy tą samą drogą, jaką przybyłyśmy: autobusem firmy Lux-Express, a następnie z Warszawy – pociągiem: Ania do Poznania, ja dalej – do Zielonej Góry.

Inny charakter miała wyprawa do Wilna w 2020 roku: zajęcia były już na inne tematy, z innymi studentami, w innych salach. Słuchacze nie byli już tak przygototowani jak przed paru laty – czy to na Słowacji, czy to właśnie na Litwie. Spotkanie z kadrą nauczycielską było jednak bardzo ciepłe i serdeczne: wracałam w oswojone już mury uczelni i do znajomych już nauczycieli. Wymieniliśmy zdania na temat sytuacji humanistyki polskiej w kraju nad Wisłą i na Litwie. Dobrą dla nas nowiną było to, że sytuacja mediów polskich znacznie się tam poprawiła. Natomiast polonistyka uniwersytecka miała w Wilnie od lat konkurenta: na Li-

tewskim Uniwersytecie Edukologicznym (LEU), a następnie w Centrum Edukacji Polonistycznej działającym w Akademii Oświaty.

Inne, oprócz samych zajęć, były też tym razem trasy moich i mego towarzysza – Barta Bruzewicza – wędrówek: nie tyle cmentarz Na Rossie, kościoły i katedry (choć też), ile różne muzea: Centrum Tolerancji (lit. *Tolerancijos Centras*), Centrum Żydowskiej Kultury i Informacji, Synagoga i inne obiekty objęte nazwą Państwowego Muzeum Historycznego im. Gaona Wileńskiego (lit. *Valstybinis Vilniaus Gaono žydų muziejus*, VVGŽM) – ślady w większości przypadków okrutnej i przewrotnej historii. Zwiedziliśmy też Muzeum Ofiar Ludobójstwa przy Alei Giedymina. „W latach II Wojny Światowej znajdowała się tu siedziba i areszt Gestapo, później sowieci z NKWD i KGB kontynuowali terror. Aresztowano, przesłuchiowano i zabijano tu Litwinów, Polaków i Żydów”⁶. Osobiście byłam wstrząśnięta piwnicznymi celami więziennymi – jedna miała może 0,25 m². Wszystkie eksponaty i pamiątki w muzeum, puszczone muzyka i filmy, rekonstruowany stukot kół pociągów wywożących ludzi na zsyłkę, odgłosy rozmów telefonicznych np. z Feliksem Dzierżyńskim – robią przerażające wrażenie.

Niedaleko muzeum, po drugiej stronie rzeki, znajduje się nowoczesna dzielnica Wilna (tzw. Nowe Wilno) z oszklonymi drapaczami chmur, biurami i bankami.

Zwiedziliśmy też Troki i muzeum w zamku na fosie. Wystawy były inne niż w 2008 roku, kiedy w Wilnie i Trokach byłam na wycieczce. Obsługujący w karczmie Karaimowie już się „zeuropeizowali”, nie noszą tradycyjnych jak jeszcze dwanaście lat temu strojów.

Spotkanie z nauczycielami z polonistyki Uniwersytetu im. Stefana Batorego było wielkim przeżyciem towarzyskim i intelektualnym, okazją do wymiany doświadczeń dydaktycznych, naukowych, ale także politycznych i światopoglądowych. Opuszczałam Wilno z nostalgią, choć dziś, z perspektywy krótkiego czasu cieszę się, że w ogóle zdążyliśmy jeszcze przed pandemią koronawirusa, że odwiedziliśmy ukochane miasto, niektórym znajomym posiadającym korzenie wileńskie przywożąc potem albo obrazki z Matką Boską Ostrobramską, albo różańce z bursztynu, albo niezapomniany chleb z kminkiem. Taki chleb, ciemny, okrągły, smakujący jak pieczywo z dawnych czasów, pieką chyba tylko na Litwie. Doktor Teresa Dalecka, przyzwyczajona do potraw wileńskich, mówi, że innego chleba już jeść nie umie. Żaden tak jej nie smakuje jak wileński; mi, zielonogórzance, również.

Najbardziej egzotyczną, niemal orientalną, erasmusową podróżą był wyjazd do Lwowa, na Ukrainę, poprzedzony niezobowiązującą lekturą „trylogii ukraiń-

6 10 największych atrakcji Wilna, <https://duolook.pl/10-najwiekszych-atrakcji-wilna> [dostęp: 12.09.2020].

skiej” Marii Nurowskiej: *Imię Twoje...*, *Powrót do Lwowa*, *Dwie miłości*⁷. Z lektury dowiedziałam się, że Lwów jest nazywany „drugim Rzymem” albo „małym Rzymem” – grodem usytuowanym na 7 wzgórzach. Tym razem – był to piękny maj 2019 roku – do towarzystwa zaprosiłam moją koleżankę Magdalenę Dmuchowską, z domu Szpak. Do Wrocławia jechałyśmy pociągiem, w którym spotkałyśmy znajome panie, podążające do ośrodka „Uzdrowienie Chorych” w Głogowie. W drodze z Wrocławia na lotnisko towarzyszył nam starszy pan ze Świdnicy. On również leciał do Lwowa, by przyjrzeć się sanatorium w Truskawcu, gdzie zamierzał latem wybrać się z żoną na turnus. Nie wiem, czy zdążył przed paraliżującą życie (i zabiegi o zdrowie!) pandemią. W samolocie pełno było młodych mężczyzn: jedni – Ukraińcy – wracali na urlop z pracy w Polsce, drudzy – Polacy – jechali na kawalerskie do Lwowa. Okazało się bowiem, że tak jak jeszcze niedawno do Polski, zwłaszcza do Krakowa, przyjeżdżali (z różnym skutkiem dla grodu Szewczyka Dratewki i Smoka Wawelskiego) młodzi Angliści, tak Polacy w podobnym celu upodobali sobie eskapady do miasta Marii Konopnickiej, Elizy Orzeszkowej i genialnego Stefana Banacha. Później się jeszcze okazało, że niektórzy młodzi Polacy, np. z Rzeszowa, co weekend przyjeżdżają sobie do Lwowa, gdyż jest i tanio, i swojsko, i atrakcyjnie. Ja natomiast, dzięki umowie MLA z Uniwersytetem Iwana Franki (niegdyś: Jana Kazimierza), byłam tam pierwszy raz. Zaraz po wydostaniu się z lotniska doznałyśmy z koleżanką szoku, nazwijmy to, kulturowego. Wsiadłyśmy do autobusu, który na oko powinien rozsypać się po drodze. W podobne zdumienie wpadłam kilkanaście lat temu w Egipcie: autobus, który wiozł mnie i innych przez Półwysep Synaj do Ziemi Świętej (jak kto woli: do Izraela), miał niedomykające się, wiszące na zawiasach drzwi, obitą karoserię i nie wiem, czy wszystkie szyby w oknach. Takie mniej więcej środki masowego transportu jeżdżą po Lwowie: zapchane do granic wytrzymałości (ludzi i autobusu), rozklekotane, przypominające nasze stare PRL-owskie czasy. Tylko że u nas było: „Autobus czerwony przez ulice mego miasta mknie”, a te we Lwowie są ni to żółte, ni to oliwkowe. Dodam tylko, że bilety są tam prawie za darmo. Jechał z nami takim autobusem Polak z Dolnego Śląska, który przyznał się, że pomieszkuje na Ukrainie, „bo tu jest tak swojsko”. Z czego żył? Nie wiadomo.

Wsiadłyśmy we Lwowie koło Uniwersytetu i przesiadłyśmy się do taksówki. Taksówkarz całą drogę rozmawiał. Kiedy w Polsce, zwłaszcza zachodniej, od dłuższego zresztą czasu była susza, we Lwowie tak grzmiało, wiało, błyskało i lało, że kilka dachów z domów pozrywało. Taksówkarz żalił się, że mu pioruny rozbiły altanę na działce.

7 M. Nurowska, *Imię Twoje...*, Warszawa 2002; taż, *Powrót do Lwowa*, Warszawa 2005; taż, *Dwie miłości*, Warszawa 2006.



Wnętrze głównego gmachu Uniwersytetu Lwowskiego przy ul. Uniwersyteckiej

Taksówka odjechała, a my musiałyśmy włożyć niemało wysiłku, by odnaleźć hotel, gdyż jak w filmach Barei od strony wskazanej ulicy widniał numer i były drzwi, ale zamknięte, wejście zaś znajdowało się od ulicy wobec niej prostopadłej. Przy wskazanej istniał jeszcze jeden „hotel”: a mianowicie stary samochód przypominający polską warszawę, w którym mieszkały różnej maści koty. Potem okazało się, że takich starych, porzuconych aut jest we Lwowie bardzo dużo, a bezpańskich kotów – jeszcze więcej. Po przebraniu się rozpoczęliśmy spacer. Wszystko nas cieszyło, szczególnie jakaś atmosfera dawnej Polski, ubrania ludzi, ruch uliczny, a na pewno muzyk grający na harmonii i śpiewający „Tilko wy Lwowi...” – przy pomniku Mickiewicza, u podnóża którego usiadłyśmy sobie, patrząc na wysokie kamienice. Większość naszych dróg, również do gmachu głównego uczelni, prowadziło koło tego pomnika i koło tego grajka. Raz uciekałyśmy tamtędy do hotelu podczas strasznej ulewy: dachy zdawały się pozbawione rynien, a ulice kanalizacji. Tonęłyśmy w strumieniach niekoniecznie czystej wody tak, że buty, ale i spodnie były do wyrzucenia. Często też przechodziłyśmy koło dziwnej ekspozycji w sklepie firmowym czekoladek „Roshen”. Były prezydent kraju Petro Poroszenko jest znacznym udziałowcem w tej korporacji. Na sklepowej witrynie, wieczorem i w nocy pięknie oświetlonej, poruszał się wielki, kolorowy ślimak, otoczony jakimiś również elektrycznie wprowadzanymi w ruch biedronkami, motylami, trawkami, muchomorkami i kwiatami. Miało to przyciągać uwagę przede wszystkim najmłodszych i zachęcać ich rodziców do zakupu słodyczy. Wielkich marketów nie widziałyśmy. Natomiast nieraz w całkiem nieporoz-

nych, nieoznaczonych miejscach były sklepy spożywcze, w którym kupowałyśmy coś do jedzenia. Dużym powodzeniem cieszył się u nas również jarmark położony niedaleko opery. Tam dokupywałyśmy hrywny, których wciąż nam brakowało, kupowałyśmy kawę lwowską, *konfiety*, ukraińskie chałwy i przede wszystkim... *saló*, czyli jak nigdzie indziej przygotowaną, peklowaną, wędzoną, przyprawioną papryką słoninę. Ją to jadaliśmy sobie na śniadanie z chlebem i pomidorem. Na owym targu moją uwagę przykuły sylwetka niewidomego śpiewaka oraz zakwefionej smutnej muźłmanki oferującej okazały asortyment ziół na wagę. Najczęściej wzrok kierowałyśmy ku ladom ze słoniną: myli się ten, kto uważa, że był jej tylko jeden rodzaj! Raz też poszłyśmy na *saló* do restauracji: dostałyśmy pokrojone tak cienko jak pergamin. Obok bogate, młode ukraińskie kobiety zjadały pyszny obiad, popijając – jak gdyby nigdy nic – wódką. My zaś jadłyśmy lwowskie pierogi i wspomnianą słoninę z ciemnym pieczywem. Innym doświadczeniem był pobyt na poczcie, gdzie oprócz normalnych kartek można było kupić stare, przedwojenne pocztówki, lub we lwowskiej palarni kawy, gdzie ogromne maszyny pracowały, mieląc rozmaite rodzaje tej używki o niespotykanych nazwach i podobno „właściwościach”. Na staroświeckich wagach były one ważone i sprzedawane wedle gustu kupującego. Dla jednej z koleżanek kupiłam na przykład „kawę dla niewiast”.

Co nas bardzo zdziwiło, to ludowe, a ściślej, narodowe stroje, zwłaszcza koszule, w których chodzą tam prawie wszyscy: bogaci i biedni, dorośli i dzieci. W ten sposób manifestują swoją przynależność i wyrażają protest przeciw polityce Rosji względem ich kraju. Inne demonstracje narodowości wyrażają się w noszeniu przez młodzieńców sygnetów z napisem *slawa Ukrainie*, w wywieszaniu przy grobach poległych w aktualnej wojnie żołnierzy żółto-niebieskich oraz czarno-czerwonych chorągiewek (co w nas, Polkach, oczywiście budziło mieszane uczucia), w bibelotach sprzedawanych na „pchlím targu”. A te doprawdy były osobliwe: podróbki dowodów osobistych ze zdjęciem Władimira Putina, także paszporty, a nawet papier toaletowy z jego wizerunkiem. Na owym targu miałam też przygodę z myśliwym, który za wszelką cenę chciał mi sprzedać skórę z upolowanego niedźwiedzia. Żał mi było misia, ale i tak już nie żył, więc chętnie bym kupiła jego futro, tylko jak taki ciężar przewieźć pociągami do Zielonej Góry w dodatku *via* Warszawa? Góral pozostał niepocieszony. Inne przygody miałyśmy w sklepach z odzieżą. Potrzebowałam pięknej sukni. Najśliczniejsze były wspomniane ludowe, zwłaszcza w sklepie „Etno”, gdzie również sprzedawano okazałą biżuterię. Suknie były piękne i w Polsce niespotykane, ceny – podobnie. Nigdzie nie była tak miła obsługa jak właśnie tam. Toteż bardzo się zdziwiłyśmy, gdy w innym sklepie z damską odzieżą traktowano nas jak „trędowate”, nie chciano nawet dać nam przymierzyć sukienek.

W niedzielę nie zamykano sklepów ani targowisk, ale i tak dzień ten wyróżniał się tłumami zgromadzonymi w przybytkach Pańskich oraz odświętnym ubiorem ludzi, jak u nas w Polsce w latach 70. czy 80. Duże wrażenie sprawiały chrześcijańskie świątynie różnych obrządków. Byłyśmy na mszy św. w katolickiej Bazylice Archikatedralnej pw. Wniebowzięcia NMP (koleżanka za ironię losu uważała, że nabożeństwo akurat wtedy odbywało się po niemiecku. Dlaczego? Gdyż właśnie przyjechali niemieccy sponsorzy i trzeba było oddać im pierwszeństwo w koncelebrze). W świątyni prawosławnej zapaliłyśmy długie cienkie świeczki. Wchodząc z kolei do błękitnego wnętrza kościoła ormiańskiego, doznałyśmy uczucia, jakoby liturgiczne śpiewy wznosiły duszę prosto do nieba. Podobnie było w pełnej dymu z kadzideł i mistycznego mroku świątyni gruzińskiej, choć tam zostałyśmy upomniane za szept. W świątyniach obrządku wschodniego miałam wrażenie, że jestem znów w Ziemi Świętej, w Jerozolimie.

Miasto jest pełne kontrastów: wielkie, czarne land rovery, lexusy i inne samochody za tysiące dolarów obok starych rozklekotanych łąd, hotele i restauracje, kawiarnie o europejskich, najwyższych standardach obok zrujnowanych domów z wadliwą kanalizacją; ludzie bogaci, pewni siebie obok mas żebraków lub „sprzedawców” nikomu niepotrzebnych staroci rozłożonych w błocie przed dworcem. Ciągle gdzieś błądziłyśmy, nie rozpoznawałyśmy ulic, budowli. O ile w Wilnie nie sposób po jakimś czasie pobłądzić, o tyle we Lwowie orientacja przestrzenna często zawodziła. Co jednak znamienne, parokrotnie natknęłyśmy się w tym labiryncie na niezwyklego muzyka. Pierwszy raz na „dworcu bez kolei”, kupując bilety na Cebrow. Przykuł mój wzrok swoim nietypowym wyglądem, rozpoczęliśmy rozmowę. Okazało się, że ma polskie korzenie. Ja zgadywałam: – „Wygląda pan na dyrygenta albo kompozytora”. Ucieszył się, zaczął śpiewać skomplikowane melodie. Właśnie kupowałam bilety, więc reszty śpiewu posłuchała nieco rozbawiona tym Magda. Dostałyśmy wizytówkę. Niewiele się pomyliłam: „Ярослав – МУЗИКА – Спивак, поет, композитор...” – widnieje na karteczce ze zdjęciem artysty, jego wierszem i jego numerami telefonów. I jeszcze: „ЗАСЛУЖЕНИЙ АРТИСТ УКРАЇНИ”. Szkoda, że Lwów leży tak daleko od Zielonej Góry. Zaprosiłabym go na uświetnienie jakiejś rodzinnej bądź uczelnianej (konferencja) uroczystości. Nazwałyśmy kompozytora „musicieniem”. Widywałyśmy go jeszcze parę razy na lwowskich uliczkach i skwerach. Co ciekawe, miał inne zgoła poglądy na temat nowo wybranego prezydenta Ukrainy niż kadra naukowa, z którą rozmawiałyśmy.

Pouczającym doświadczeniem była dla nas piesza wycieczka – takimi ulicami, jakby się szło przez Wrocław! – na Cmentarz Łyczakowski. Nekropolia nie jest jednolita – składa się jakby z wielu cmentarzy starych i całkiem nowych, chrześcijańskich i komunistycznych, radzieckich, polskich i ukraińskich. Na niektórych zapomnianych rejonach rosły wielkie łopiany i pełzały niezliczone ilości ślimaków. Jakoś ślimaki pozostały w mojej pamięci znakiem Lwowa – te z Cmen-

tarza Łyczakowskiego i te – z wystawy sklepu z czekoladkami. Smutne myśli, podobne do tych, jakie miałam w Ponarach czy na cmentarzu żołnierzy polskich na wileńskiej Rossie, towarzyszyły mi na cmentarzu Orląt Lwowskich – przy jednakowo białych grobach setek czy tysięcy młodych Polaków walczących w latach 1918–1920 o polskość Lwowa. Wstrząsu doznałyśmy też z Magdaleną w nowej, ukraińskiej części, patrząc na przybite do setek świeżo ciosanych krzyży zdjęcia młodych ludzi, poległych niedawno na wschodnim froncie. Ubrani w ludowe kożusze, ładni, uśmiechnięci 18-, 20-latkowie, zawodowi żołnierze i ochotnicy.



(Od lewej). Groby Orląt Lwowskich na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

Groby ofiar współczesnej wojny na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

Grób Marii Konopnickiej we Lwowie

Gdy byłyśmy na Wydziale, jedna z wykładowczyń opowiadała o ich pogrzebach na wsi. Nigdy bym nie wiedziała, jak wyglądają reperkusje wojny na wschodzie Ukrainy w jej zachodniej części, gdybym nie była w tym kraju: nie zobaczyła tych rzędów grobów ze zdjęciami, nie posłuchała opowieści, nie przejrzała tamtejszych czasopism. Kiedy wiozą z frontu poległego żołnierza, cała wioska wychodzi na ulicę, ustawia się wzdłuż drogi, milczy bądź modli się. W ten sposób czczą zabitego, ale także jego zbolełą rodzinę. Pani doktor mówiła, że jeden ich kolega z pracy, „zza ściany”, był wezwany do wojska. Wrócił w trumnie. Widziałam jego zdjęcie w uniwersyteckiej gazecie. Na cmentarzu tropiłyśmy też ślady naszych wielkich rodaków. Szukając miejsca pochówku Marii Konopnickiej i Elizy Orzeszkowej, zobaczyłam piękny, z czarnego marmuru nagrobek jakiejś osoby z gustownie przytwierdzonym – jak mi się zdawało – równie jak kamień czarno-lśniącym kosem u góry. Kiedy chciałam to arcydzieło pokazać Magdzie, czarodziejski ptak uniósł się w powietrze i uleciał w przestworza. Nie był jednak ele-

mentem grobu, nie należał do zmarłego, jako rozśpiewany symbol jego duszy, choć ktoś to wie? Przy nagrobku Konopnickiej, usytuowanym blisko murowanego ogrodzenia (oznakowania sektorów są dość mylące!), zrobiliśmy sobie kilka zdjęć. Bez trudu znalazłyśmy potem pomnik matematyka Stefana Banacha.

Wracałyśmy do hotelu uniwersyteckiego obok okazałych gmachów Akademii Medycznej i Uniwersytetu Weterynarii i Biotechnologii.

Z wyjazdem na ten „Erasmus Plus” miałam spore kłopoty, gdyż kiedy chciałam ostatecznie ustalić z nauczycielami tematy realizowanych przeze mnie tematów, okazało się, że termin zaakceptowany przez lwowską koordynatorkę jest nierealny: w tym czasie studenci polonistyki mają już sesję egzaminacyjną. Udało się jednak uzgodnić zajęcia na Wydziale Artystycznym – pod warunkiem, że pozwolę, by uczestniczyli w nich również wykładowcy.



*Wydział Artystyczny Uniwersytetu Lwowskiego na zewnątrz.
Wnętrze Wydziału Artystycznego we Lwowie*

Długo szukałyśmy z Magdą tego Wydziału: z zewnątrz budynek był nieco odrapany, z jakąś zgołą newage'owską mandalą nad drzwiami wejściowymi. Sprawiał wrażenie mniejszego niż to, co prezentowało jego wnętrze. Uderzyło mnie, że na końcu korytarza na piętrze był niby ołtarz z ikonami z czerwieni złota i bieli. Przed zajęciami byłyśmy zaproszone na herbatę – dobrze, że również tym razem przywiozłam w prezencie książki. Wywiązała się rozmowa o sytuacji humanistów na Ukrainie, sytuacji teatru i teatrologów, potem o nowo wybranym prezydencie tego kraju. Na zajęciach miałam slajdy, tematy nawiązujące do kultury nie tylko polskiej, ale i ukraińskiej (np. o Mazepie i *Mazepie* Słowackiego). Piękne twarze studentów aktorstwa i dziennikarstwa (zwłaszcza z pierw-

szych ławek) w skupieniu przyglądały się moim „występom” i prezentacjom. Byłam zdumiona, że młodzi ludzie wchodzą ze mną w dialog, przedstawiają swój punkt widzenia, zadają pytania. Co było również nowością, zajęcia kończyły się aplauzem i brawami.

Zwiedziłyśmy z koleżanką również główny gmach uczelni, ten przy ul. Uniwersyteckiej, w którym znajduje się też polonistyka. Zaciekawienie wzbudziła we mnie mieszcząca się w gmachu biblioteka, będąca jednocześnie swoistym muzeum.

Na Wydziale Artystycznym poznałam różne osobowości wykładowców. Jeden z młodych nauczycieli – magister Roman Lawrentij – później drogą mailową przesłał mi pewne informacje dotyczące wystawień *Mazepy* na deskach lwowskich teatrów. Wspominam to z wdzięcznością. Byłabym niezmiernie rada, gdybym i ja mogła poznanym na różnych erasmusowych ścieżkach wykładowcom pomóc w rozwiązywaniu jakichś naukowych dylematów.

Wyjazd do Lwowa zaowocował spostrzeżeniami i doświadczeniem, którego w żaden inny sposób nie mogłabym zdobyć. Nigdy wcześniej nie byłam na Ukrainie, a do wyjazdu na „Erasmus Plus” motywowały mnie względy nie tylko dydaktyczne czy naukowe: rodzice urodzeni przed i podczas II wojny światowej pochodzili z tamtych stron. Chciałam więc choć raz w życiu ujrzeć miejsca, o których oni z nostalgią opowiadali. Nie wiem dlaczego – może ze względu na to, że zdjęcia i pocztówki z dawnych lat bywają czarno-białe albo w kolorze sepii⁸ – ale dopóki nie zobaczyłam na własne oczy miasta mojego taty i wioski mojej mamy, widziałam je oczyma wyobraźni niewyraźnie, w czarno-popielatych barwach. Jakie było moje zdumienie, gdy miejscowości te, skąpane w majowym słońcu, olśniona ujrzałam tak pięknie kolorowe. Cebrow mienił się barwami kwiatów na łące i pasących się na niej zwierząt: stad kóz i gęsi. W zagrodach chodziły wielobarwne kury i koguty. Pani w chustce na głowie szła z małą wnuczką, prowadząc cielaka.

Nabrałam ziemi przy strumieniu, skubnęłam natkę dziko rosnącej okazałej pietruszki. Jest to doprawdy ziemia „mlekiem i miodem płynąca”. Jeszcze we Lwowie w sklepie zakupiłam sobie nieumytą (bo nikt tam nie myje takich rzeczy!) marchewkę wielkości maczugi. Tylko takie tam były...

Tarnopol, niestety, również okazał się wielobarwny, gdyż na ulice wylegli twórcy kiczowatych obrazów, a z kolei nad nimi powiewały doprawdy ogromne banderowskie flagi związane z majowymi świętami. We Lwowie nacjonalizm,

8 Chciałabym jednak dodać, że z dzieciństwa rodziców nie zachowały się żadne pamiątki. Wszystko zginęło podczas rzezi wołyńskiej 1944 r., a potem podczas wywózki wagonami bityłymi na Zachód, na Ziemię Odzyskane.

ze względu na rzesze turystów, nie jest aż tak demonstrowany. Prawda historyczna o wydarzeniach z lat 1943–1944 jest starannie wymazywana ze świadomości narodu ukraińskiego. Bandera pozostaje ich wielkim bohaterem, dla Polaków jednak – zbrodniarzem wojennym. Nie mogłam znaleźć w Tarnopolu kościoła, w którym chrzczony był mój tata. Bardzo wysoka wieża świątyni została w latach 40. spalona, a reszta budynku zamieniona na magazyn. Obiektu nie znalazłam, a ziemię wzięłam z miejsca niedaleko ulicy hetmana Sahajdacznego (wówczas bodajże: 3 Maja), gdzie moi dziadkowie przed tułaczką na zachód wychowywali swoich synów.

Cel wyprawy – oprócz, rzecz jasna, dydaktycznego – osiągnęłam: byłam i w Cebrowie, gdzie urodziła się moja mama, i w Tarnopolu, gdzie pierwsze lata swego dzieciństwa przeżył mój tata. W Cebrowie szukaliśmy z Madzią domu rodzinnego oraz kościoła, do którego z rodziną moja mama chodziła. Okazało się, że prawosławni Ukraińcy, którzy po 1944 roku zostali w wiosce, kościół katolicki zamienili na cerkiew, a swoją cerkiew pozostawili działaniu czasu („Budynki nowoczesne milczą, ale ruiny mówią” – Benjamin Constant⁹). Stąd moja dezorientacja, gdyż przed wyjazdem mama poinformowała mnie, że od strony torów i strumienia na prawo była cerkiew, a na lewo kościół katolicki. *De facto* było odwrotnie. Po lewej stronie znajdował się też cmentarz. Rolnik orzący pole ze swoją starą matką poinformował nas, że wszystkie szczątki dawnych Polaków są złożone w jednym grobie – „Garapichów de Sichelburg”. Nie chce mi się w to wierzyć. Wśród nagrobków zobaczyłam jednak oddzielną mogiłę z nazwiskiem Perkiij (Перкіїй Богдан Михайлов) – takie nazwisko miał daleki kuzyn mojej mamy, zresztą artysta-malarz z Gorzowa Wielkopolskiego – Roman. Widocznie w Cebrowie spoczywają jego przodkowie.

Wspaniała i ekscytująca była w ogóle podróż w dwie strony. Najpierw kupiliśmy we Lwowie bilety: kierunek – Tarnopol, ale wysiadka w Cebrowie. Co mnie urzekło: bileterka miała na blacie ikony. Wiele osób – mimo usiłowań władz komunistycznych przed laty i programowej ateizacji narodów Związku Radzieckiego – zachowało i nie kryje swojej wiary, czego znakiem są stawiane na biurkach święte obrazki. To samo zauważyłam wśród pracowników Uniwersytetu, wśród kierowców autobusów i trolejbusów itd.

Warto w tym miejscu odnotować, w jaki sposób odbywała się podróż. Otóż kupiliśmy bilety na tzw. *elektryczkę*.

9 B. Constant, *Mélanges de littérature et de politique*, t. I–II, Bruxelles 1829, t. II, s. 23.



„Elektriczka” we Lwowie jadąca do Tarnopola

Spodziewaliśmy się, że będzie to nowoczesny, aerodynamiczny szynobus, a naszym oczom ukazała się wielka stalowa maszyna. Gdy zasiadłyśmy, zaczął się cyrk w postaci obnośnej sprzedaży: jeden pan nosił woreczki foliowe, takie, jakie u nas w marketach są za darmo, wymijał się z panią, która z kolei oferowała ścierki. W trakcie podróży inna znowu osoba próbowała sprzedać batoniki. Nikt nie siedział, jak u nas w Polsce, ze słuchawkami w uszach czy z laptopem na kolanach, wszyscy zaś rozmawiali. Jeden człowiek cały czas „gadał”. Gdy wyczerpał mu się zasób interlokutorów, siadał gdzie indziej; w końcu przysiadł się do „ponurego” człowieka usytuowanego naprzeciwko nas, by i z nim (a może i z nami) porozmawiać. Kiedy zaczepione coś odpowiedziałyśmy, szybko przeszedł na język polski, chwając się, że w Gdańsku ma córkę i zięcia. Okazało się, że smutny pan też ma żonę w Polsce, która bynajmniej nie chce wracać do męża. Człowiek mówił po ukraińsku, a gdy nie rozumiałyśmy, tłumaczył go nam pociągowy „gadula”. Opowiadał, jak jego przodkowie zostali przesiedleni z Bieszczad polskich w zamianie ludności w „akcji Wisła”. On już języka polskiego nie zna. Cieszył się, że może z nami rozmawiać, że może pokazać nam przez okno nasypy kolejowe, które jako inżynier buduje. Gdy w Cebrowie wysiadałyśmy z pociągu, panowie pożegnali nas serdecznie, a „ponury” towarzysz podróży, gdy mu machałyśmy z dworu, przyłożył rękę do szyby. Jakby nie chciał tak prędko rozstania z miłymi Polkami. Z Cebrowa dzięki życzliwości ekspedientki z małego sklepika i jej telefonu pojechaliśmy do Tarnopola, całą drogę rozmawiając z kierowcą. W Tarnopolu kupiliśmy bilety na Lwów – okazało się, że na pociąg „Lux” – z kuszetkami. Gdy wchodziłyśmy, konduktorka zabrała nam u wejścia bilety, co jest zresztą zgodne z tamtejszym zwyczajem. Potem przyniosła nam *czaj* wpisany w cenę bi-

letu. Gdy weszliśmy do pociągu, ogarnął nas niepohamowany śmiech. Osobiście czułam się jak w jakimś hinduskim pociągu na trasie Bombaj–Kalkuta: tłok, jedni jedzą, inni mimo dnia śpią u góry w kuszetkach, jeszcze inni piją wódkę bądź ów *czaj*, grają w karty, pieszczą pieska (do owych pieszczot dołączyła się wkrótce konduktorka, a w końcu ja sama), słuchają rosyjskiego radia nastawionego na cały regulator. Dzieci, gołe lub w połowie ubrane, biegają po wagonie, wspomniana pani roznosi dymiącą herbatę, słysząc najrozmaitsze odgłosy, a zza brudnych szyb widać żyzną ziemię galicyjską i piękną majową zieleń. Jeszcze w żadnej podróży nie było mi tak wesoło jak w owym pociągu z kuszetkami. W myślach recytowałam wiersz Juliana Tuwima *Lokomotywa*: „siedzą i jedzą tłuste kiełbasy”¹⁰. Dodam tylko, że ze względu na widoki z okna i na piękno przyrody z okolic Cebrowa kupiłam sobie potem kalendarz zatytułowany *Galicja*.

Z niezwykle ubogacającego intelektualnie (poznawczo) i duchowo „Erasmusa Plus” wracałam z koleżanką pociągiem przez Przemyśl. Pierwszy, a może i ostatni raz w życiu byłam w tym urokliwym mieście z wybrukowanym deptakiem, Muzeum Dzwonów i Fajek w Wieży Zegarowej, z zabytkowymi kościołami, w których freski upamiętniają różne wydarzenia mające miejsce na rubieżach Rzeczypospolitej. Szczególnie moją uwagę przykuły freski w Kościele Franciszkanów: męczeństwo zakonników franciszkańskich zamordowanych przez Wołochów na przemyskim rynku w 1498 roku oraz ucieczka z Przemyśla wojsk Rakoczego „porażonych” widokiem relikwii św. Wincentego w 1657 roku¹¹. W barze z międzynarodową klientelą i z miłą obsługą posiliłyśmy się przed dalszą podróżą w kierunku Warszawy.

Można zauważyć, że zajęcia dydaktyczne, spotkania z kadrą naukową i ze studentami są tylko elementem erasmusowego wyjazdu. A reszta to zwiedzanie kościołów, cmentarzy i muzeów, uczestnictwo w nabożeństwach, spektaklach teatralnych czy w operze, wyjazdy na termy, na pływanię, zakupy, kosztowanie posiłków regionalnych, spacer po górach – jednym słowem rekreacja. Ale „w tym szaleństwie jest metoda” – za tym wszystkim kryje się nieoceniony walor poznawczy: „wsiąkając” przez parę dni w mentalność odwiedzanego narodu, poznając nie tylko studentów i nauczycieli akademickich, ale też zwykłych ludzi na ulicy, w pociągu, w autobusie, wałęsając się po przybytkach kultury, poznajemy tę ostatnią tak jak w żaden inny – nawet przynależny naszej profesji – sposób. Wyjazd ma więc wymiar jak najbardziej poznawczy i naukowy: uczymy się obcej kultu-

10 J. Tuwim, *Lokomotywa. Rzepka. Ptasię radio*, ilustr. J. Lenica, Warszawa 1995.

11 Zob. więcej: P. Jaroszczak, *Klasztor i Kościół Franciszkanów* (pod wezwaniem św. Marii Magdaleny), Przemyśl 2000, <http://www2.kki.pl/piointf/przemysl/zabytki/koscioly/fran/fran.html> [dostęp: 12.09.2020]. Por. M. Kaniewski, *Kościół starego Przemyśla*, Przemyśl 1987.

ry, uczymy się mentalności naszych sąsiadów, poznajemy, jak wygląda życie akademickie poza granicami. Tą wiedzą możemy dzielić się z rodziną i przyjaciółmi, ze współpracownikami, a także ze studentami. Ich również zachęcać do wyjazdów. Należy zatem żywić nadzieję, że paraliżująca życie, interakcje personalne, wymianę naukową pandemia COVID-19 minie i będziemy mogli nie tylko wrócić na swoje uczelnie, ale także wyjeżdżać znów na „Erasmusy”; na swoje zaś uczelnie przyjmować zagranicznych wykładowców i studentów. W ten sposób nawiązywać znajomości, w wielu przypadkach owocujące współpracą naukową, zyskiwać znajomych z branży, rozwijać się dydaktycznie i mentalnie.

Bibliografia

- *10 największych atrakcji Wilna*, <https://duolook.pl/10-najwiekszych-atrakcji-wilna>.
- Constant B., *Mélanges de littérature et de politique*, t. 1–2, Bruxelles 1829.
- Feliński A., *Barbara Radziwiłłówna. Tragedia w pięciu aktach*, Kraków 2003.
- Jaroszczak P., *Klasztor i Kościół Franciszkanów* (pod wezwaniem św. Marii Magdaleny), Przemysł 2000, <http://www2.kki.pl/pioinf/przemysl/zabytki/koscioly/fran/fran.html>.
- Kaniewski M., *Kościół starego Przemysła*, Przemysł 1987.
- Kłos J., *Wilno*, Wilno 1923.
- Kowalczykowska A., *Słowacki*, Warszawa 1999.
- Lenartowicz T., *Poezje wybrane*, Kraków 2002.
- Nurowska M., *Imię Twoje...*, Warszawa 2002.
- Nurowska M., *Powrót do Lwowa*, Warszawa 2005.
- Nurowska M., *Dwie miłości*, Warszawa 2006.
- Tuwim J., *Lokomotywa. Rzepka. Ptasia radio*, ilustr. J. Lenica, Warszawa 1995.

Dorota Kulczycka

The University of Zielona Góra

ERASMUS OF ROTTERDAM WOULD BE GLAD: VARIOUS BENEFITS OF THE “MOBILITY AGREEMENT STAFF FOR TEACHING”

Summary

In an unconventional and non-objective (because very personal) way, the author describes various benefits of taking part in the “Erasmus” and “Erasmus Plus” programs in Slovakia, Lithuania and Ukraine. She recalls her trips in the countryside, the people she met, and, most importantly, her intellectual adventures (the experience of new places and new contacts; confronting herself with new languages and foreign mentality; new forms academic life; scholars, students, and the problems they cope with, as well their political and world views). The article shows how to establish contacts with

foreign institutions, and how to share experience within new foreign colleagues within a very short period of time (five days only). This is not possible, as the author argues, without making friends on a new ground.

Key words: Erasmus, Erasmus Plus, didactics, scientific contacts, personal experience.

DOROTA KULCZYCKA – dr hab., prof. UZ, historyk i teoretyk literatury. Pracownik naukowo-dydaktyczny w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Autorka monografii: *Jestem jak człowiek, który we śnie lata. O symbolice ptaków w twórczości Juliusza Słowackiego* (2004), „*Powiedzieć to wszystko, o czym milczę*”. *O poezji Stanisława Barańczaka* (2008), *Obraz Ziemi Świętej w dobie romantyzmu* (2012), *W stronę Orientu. Polscy i francuscy romantycy o Bliskim Wschodzie* (2012) oraz *Ziemia Święta w dobie romantyzmu. Antologia* (2013). Ostatnio zajmuje się związkami literatury z kinematografią polską i zagraniczną. Współredagowała książkę *Literatura a film* (2016), zredagowała też *Ze srebrnego ekranu na papier. Ślady sztuki filmowej w literaturze* (2019), oddała do druku monografię *Film w prozie Jakuba Żulczyka*, opublikowała kilkanaście artykułów o filmach i serialach.